

# ***Jak dobrze, że nie jestem burmistrzem!***

**MARCIN KULA**

Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie

 <https://orcid.org/0000-0002-5161-5027>

DOI: <https://doi.org/10.26774/rzz.367>

02/2020/Suplement

**ROCZNIK  
ZIEM  
ZACHODNICH**



Publikacja dostępna na licencji **Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe**. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autorów. Zezwala się na wykorzystanie publikacji zgodnie z licencją – pod warunkiem zachowania niniejszej informacji licencyjnej oraz wskazania Ośrodka „Pamięć i Przyszłość” jako właściciela praw do tekstu.

Bardzo słabo znam zachód Polski. W moim wypadku potwierdza się teza o psychologicznym trwaniu zaborowego podziału kraju. To, co leżało w zaborze rosyjskim i austriackim, jest mi bliższe niż dawny zabór pruski – już nie wspominając o obszarach, które weszły w skład Polski po wojnie. Choćby z tego powodu przeczytałem z ogromnym zainteresowaniem artykuł Nancy Waldmann *Koniec przeobrażeń? Dekomunizacja przestrzeni publicznej w Polsce na Ziemiach Zachodnich i Północnych w latach 2016–2017 (wybrane przykłady)*. Spisując uwagi na jego marginesie, mam jednak poczucie sporej niekompetencji i pewnie też dlatego uciekam do bliskich mi kwestii ogólnych.

Kilka spraw jest oczywistych. Pomniki „wdzięczności Armii-Wyzwolicielce” nie były żadnym wyrazem wdzięczności. Stawiano je z rozkazu. Ich liczba, podobnie jak liczba pewnych nazw ulic, przekraczała granice zdrowego rozsądku. Na dodatek, poza pomnikami powszechnie znanymi, popiersia Lenina itp. znajdowały się w wielu instytucjach czy na różnych terenach zamkniętych. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Co pewien czas pojawiały się wieści np. o pomalowaniu Dzierżyńskiemu na warszawskim pomniku rąk na czerwono – ale jeszcze należałoby sprawdzić, ile razy to się zdarzyło i w jakich momentach.

Pomniki przekłamywały rzeczywistość, gdyż z natury rzeczy nie mówiły nic o rozlicznych negatywach działań „bratniej” armii na ziemiach polskich i tych, które wówczas polskimi się stawały, czy o ujemnych skutkach polityki ZSRR wobec Polski. Nadto były elementem systemu, w ramach którego też milczano o takich rzeczach. Stanowiły wyraz i zarazem narzędzie zapanowania nad terenem przez jedną siłę polityczną. Korelatem ich budowy, czy nadawania nazw ulicom, była eliminacja innych pomników i nazw, bądź wykluczenie tworzenia nowych pomników i nazw, które powinny znaleźć się w przestrzeni publicznej. Warto pamiętać, że na przykład na Grobie Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu oddaje się hołd pamięci wszystkim żołnierzom poległym w służbie Francji, niezależnie od tego, jak dziś francuska opinia publiczna ocenia cele, za które walczyli – często zresztą przeciw nie z własnego wyboru. Tu rozwiązano sprawę inaczej.

W konsekwencji wymienionych i z pewnością też dalszych okoliczności, wiele komunistycznych pomników i nazw zostało usuniętych wkrótce po zmianie ustroju. Dokonywano tego przy na ogół spontanicznym poparciu ludzi. Wiele nawet trwających pomników popadło w zaniechanie. Pomnikiem (grobem) komunistycznych bohaterów Kniewskiego, Hibnera i Rutkowskiego, postawionym w fosie warszawskiej Cytadeli, gdzie dzieci z mojego pokolenia były prowadzone przez szkoły, najpierw „zaopiekowali się” złomiarze (mosiężne litery napisu!), potem grafficiarze (a raczej „mazacze”, którzy coś tam smarowali), a w końcu miejscowe męty, które znalazły świetny stół dla stawiania butelek. Można przytoczyć wiele takich przykładów. Wszystkie zaświadczą przy najmniej szeroko dominujące marne nastawienie ludzi do komunistycznej dekoracji.

Dlaczego mi zatem przeszkadza – bo przeszkadza – ustawa o dekomunizacji przestrzeni publicznej? Składa się na to wiele przyczyn. Odnoszę wrażenie, że była ona elementem gry politycznej. Środowisko u władzy odwoływało się do haseł antykomunistycznych dla dyskredytacji środowiska czołowego w realizacji koncepcji transformacji ustrojowej. Chciano powiedzieć narodowi, że to „my” zdekomunizujemy. Był to jeden z wątków koncepcji „dobrej zmiany” (kogo, czego? Polski!). Naród

chyba już niespecjalnie przejmował się pomnikami i nazwami, które przetrwały, ale ideolodzy o nich pamiętali i mogli narodowi przypomnieć. Otóż zasadniczo nie lubię posługiwania się historią jako narzędziem polityki.

Bardzo nie lubię wypowiedania się parlamentów o historii w ogóle, a tym bardziej w formie ustaw, których z natury rzeczy należy przestrzegać. Wizja przeszłości nie jest sprawą do regulowania ustawami. Chcę minimalizacji roli państwa w tej kwestii, a nie odwrotnie. Oczywiście nie można go pominąć całkowicie (pieniądze na różne cele, rocznice, ceremonie, program szkolny...) – ale niedobre przykłady wprowadzania obowiązkowej wizji dziejów w ramach ustrojów dziś powszechnie potępianych nakazują ostrożność. Skoro mówimy o obowiązkowej dekomunizacji przestrzeni, to warto pamiętać o podejściu do historii stalinizmu i, szerzej, komunizmu (zostawmy na boku wszystkie niuanse, choć skądinąd warto by o nich pamiętać). Jako historycy powinniśmy sprzyjać wielości wizji dziejów i sporom wokół nich, a nie ustaleniu jednej z nich jako obowiązującej. Niedawna nowelizacja ustawy o IPN, gdyby nie sprzeciw świata, oddająca w ręce prokuratora kwestię przedstawiania historii, była dobrym sprawdzianem, jak taka wizja uprawiania historii pociąga niektórych rządzących.

Przeszkadza mi wyrażony w działaniu w imię dekomunizacji przestrzeni centralizm. Moim zdaniem o pomnikach i nazwach powinna decydować społeczność lokalna głosami wybranych przedstawicieli. Przeszkadza mi również przyznanie nadzwyczajnej roli w tej sprawie IPN. Funkcjonuje on w roli orwellowskiego ministerstwa prawdy, ale nawet gdyby tak nie było, nie jestem za centralizacją dociekań historycznych i przyznawaniem dowolnej instytucji roli dominującej. Regulowanie kwestii dekomunizacji terenu centralnymi zarządzeniami ma też strony negatywne w kategoriach praktycznych.

Stan rzeczy na różnych terenach był zróżnicowany, a zatem działania dekomunizacyjne w stosunku do nich nie powinny być jednolite. Sytuacja Ziemi Zachodnich i Północnych w zakresie zaświadczenia historii w terenie była zupełnie wyjątkowa ze względu na ich losy. Rzadko mógł się tam pojawić postulat powrotu do przedwojennych nazw ulic. Dekomunizować można by natomiast na przykład cały obraz „Ziem Odzyskanych”. Dziś mało kto posługuje się tym terminem, ale może należałoby go aktywnie tępić? Kwestia gustu. Ziemie, które Polska zyskała kosztem Niemiec, były swoistym pograniczem nie tylko z powodu bliskości Niemiec i śladów obecności Niemców, ale również ze względu na zróżnicowaną tradycję, do której mogli się poczuwać i zapewne poczuli się mieszkańcy. Dla przykładu, zrobił na mnie wrażenie wystrój katedry w Kamieniu Pomorskim, przynajmniej w wersji oglądanej przeze mnie w 2007 r. Tablica umieszczona przy kaplicy Cudownego Obrazu Pana Jezusa Brzozdowickiego zaświadczała, że obraz przywieziono w 1945 r. z Brzozdowic, z ziemi lwowskiej. Inną poświęcono „tym, którzy nie wrócili z syberyjskiej góry”. Trzecią, zawieszoną – co istotne – już po upadku komunizmu, poświęcono „Żołnierzom 2 Warszawskiej Dywizji Piechoty im. Jana Henryka Dąbrowskiego poległym w 1945 roku na szlaku Krzywoustego w walkach o Kamień Pomorski, Ziemię Kamieńską i brzeg Bałtyku”. Pojawia się zatem pytanie, czy należy wyrzucić tę trzecią tablicę na mocy ustawy dekomunizacyjnej?

Przeszkadza mi niejasność kryteriów zaliczania ludzi i spraw upamiętnianych pomnikami oraz nazwami do komunizmu. To szersza sprawa. Dziś w Polsce odnosi się

wrażenie, że wszyscy i zawsze, jakoby od kolebki do śmierci, walczyli z komunizmem – poza UB-kami/SB-kami i TW (niezbyt chce się nawet pamiętać, że osób zdeklarowanych w służbie ustroju było tak wiele, iż można mówić o istotnej części narodu). Ludzie chcą potwierdzenia zajmowania miejsca po jasnej stronie mocy – i to tym bardziej, że w PRL granica współuczestnictwa była bardzo mętna. Prawdopodobnie wielu z nas zabrakło wyraźnych znaków symbolicznych zmiany ustroju. Może to właśnie tę potrzebę zaspokaja akcja dekomunizacji przestrzeni. Pozostaje jednak faktem, że nawet jeśli można wyrzucić pomnik Lenina z Nowej Huty, to jej samej się nie zburzy. Pałac Kultury też po prostu szkoda byłoby wysadzić w powietrze, a zresztą jakoś wrósł w Warszawę – choć jest niezaprzeczalnie brzydki. Nawet wśród szmoncesów, sprzedawanych jako pamiątki z Warszawy na dworcach, można kupić Pałac w miniaturze (jeszcze brzydszy od naturalnego). Na dodatek niektórzy z nas zapamiętali z Pałacu nie komunizm, ale koncert The Rolling Stones.

W praktycznych kategoriach Ziemi Zachodnich i Północnych chciałbym się dowiedzieć, czy nieuwzględnienie w Darłowie (2007) nikogo i niczego z okresu niemieckiego wśród tablic upamiętniających zasłużone dla miasta osoby i instytucje, przy jednoczesnym poświęceniu tablic strażnikom granicy morskiej od 1945 r., „Darłowskiej” eskadrze lotniczej (z LWP!) lub ORP „Darłowo” (okrętowi budowanemu w ZSRR!)..., było wyrazem komunizmu? Czy należy zdjąć niektóre z tablic z tej galerii? A może raczej byłoby warto jakieś dodać?

Jako historykowi przeszkadza mi czyszczenie śladów świadczących o przeszłości terenu. To zjawisko ma bardzo starą metrykę. Orzekano już swego czasu karę *damnatio memoriae* wobec pewnych osób, przemalowywano obrazy, niszczone posągi... W naszej epoce działania te przećwiczone w różnych państwach, ustrojach, religiach. Żebyśmy nie wiem jak się wysilali, nie wyczyścimy wszakże wszystkiego. Nawet czyszczenie Ziemi Zachodnich i Północnych ze śladów niemieckich (jako „odzyskanych”, „piastowskich”) nie udało się. Nadto niejedyn taki ślad bądź fragment pamięci, nawet wyczyszczone, z czasem wróciły. Uniwersytet Wrocławski umieścił na ścianie tablicę swoich noblistów – ale tak się złożyło, że wszyscy byli Niemcami. Nawiasem mówiąc, na miejscu Rektora zaprosiłbym obecnie Olgę Tokarczuk w charakterze profesora i od razu tablica wyglądałaby lepiej (*sic!*). A jak poszłyby w górę notowania uczelni w rankingach!

Można chcieć wyprostować *ex post* historię Gdańska, ale Wolne Miasto istniało. Nadto fakt, że wielu z nas dziś nie lubi komunizmu, a w tym PRL, nie zmieni tego, że znaczna część spośród nas wtedy żyła, uczyła się, pracowała... Niektórzy byli dumni ze swoich osiągnięć i mieli po temu uczciwe powody. Niektóre sensowne rzeczy zostały zbudowane lub odbudowane.

Kolejna przyczyna, dla której przeszkadzają mi postanowienia o dekomunizacji terenu, to okoliczność, że obok obalanych pomników i zmienianych nazw fałszywie zaświadczaających stan rzeczy, tworzy się obecnie obraz nie zawsze prawdziwy. Z informacji o eliminowanych nazwach ulic w broszurce, którą dystrybuowano wśród mieszkańców Warszawy, jedna zawierała treść idiotyczną, druga niepełną, a trzecia pomawiała człowieka o niecne czyny bez żadnego postępowania przeciw niemu. Na dalsze informacje już nie patrzyłem.

Komunistyczna przynależność (jeszcze pytanie, kiedy i co realnie oznaczająca) nie musi automatycznie przekreślać zasług predestynujących do pozostania w narodowej

pamięci. To są bardzo indywidualne sprawy, których nie da się przesądzić wszechobejmującym postanowieniem. Z kolei antykomunistyczna postawa człowieka, nawet jego walka przeciw komunizmowi, nie musi być jeszcze równoznaczna ze szlachetnością uzasadniającą kult. Nie każdy wyrok sądowy wydany w czasach komunizmu musiał być automatycznie fałszywy. Wadliwość prawna wielu procesów była równoznaczna z wadliwością wyroków, ale nie musiała oznaczać automatycznie niewinności. Zawodowych działań wielu ludzi nie da się oddzielić od ich działania w ramach ustroju.

Dąbrowszczacy, o których ulicę w Warszawie toczyły się spory, walczyli w Hiszpanii z gen. Franco, którego naprawdę popierały faszystowskie Włochy i Niemcy (o tym warto pamiętać nawet jeśli, odmiennie ode mnie, ceni się go za realizowaną koncepcję państwa hiszpańskiego). W wypadku polskich żołnierzy, idących razem z Armią Czerwoną (Radziecką), stawianie im pomnika, przy jednoczesnym jej potępieniu, jest ahistoryczne – gdyż oni byli jej częścią. Czy byli temu winni? Niezależnie od planów Stalina, żołnierze zbierani nad Oką szli do Polski. Wielu z nich zresztą po prostu nie zdążyło do gen. Andersa. Nie wiem, jaki był polityczny zamysł wysłania z praskiego brzegu desantów na pomoc Powstaniu Warszawskiemu. Nie wykluczałbym, że Stalin chciał przedłużyć powstanie w swoim interesie. Ci żołnierze walczyli jednak z Niemcami, a nie w interesie Stalina. W Tallinnie obalono pomnik „Brązowego żołnierza” jako symbol Armii Radzieckiej, a przecież w sowieckim wojsku z pewnością służyli też Estończycy.

Z perspektywy historyków warto pochylić się nad samą Armią Radziecką. Z faktu, że zdobyła ona Berlin, z pewnością nie wynika, jakoby była szlachetna w wielu innych sytuacjach. Warto jednak pamiętać, że zdobyła Berlin i to honorować. Podczas obchodów 1 września w 2019 r. Rosję przedstawiono wyłącznie jako agresora. W ogóle nie wspomniano jej walki z Hitlerem. Jasne, że łatwo wskazać momenty potwierdzające agresywną rolę ZSRR. Niemniej jednak może warto zapytać, kto zdobył Berlin i za jaką cenę? Jakiś dziennikarz niedawno powiedział, że Stalin „niestety” doszedł do Berlina. Czy naprawdę bylibyśmy zadowoleni, gdyby nie doszedł? Czy rzeczywiście nie można zrozumieć ludzi, którzy chcą, by Stalingrad nadal się tak nazywał? Czy normalna jest sytuacja, gdy to w Paryżu istnieje plac Stalingradu i nosząca tę nazwę stacja metra? W Polsce, w ramach ustawy, należałoby je notabene zdekomunizować.

Historia bywa skomplikowana. Odważę się wysunąć przypuszczenie, że pokolenie poprzednie w stosunku do mojego było zadowolone, iż hitlerowski Berlin padł – nawet jeśli wielu na pewno byłoby zadowolonych bardziej, gdyby Berlin zdobyli alianci zachodni i nawet jeśli, co chyba nie ma wątpliwości, że część ofiar szturm Berlina była skutkiem parcia Stalina motywowanego koncepcją polityki wewnętrznej. Pojawiające się obecnie w historiografii idee, że Polska powinna pójść z Hitlerem przeciwko ZSRR wydają mi się po pierwsze zupełnie ahistoryczne, a po drugie odrzucające.

Historia rzadko bywa prosta jak drut, skądinąd też nie zawsze prosty. Burmistrz musi wykonywać ustawy. Historyk też musi, ale akurat nie tę, o której mowa. Cieszę się z tego.